Nr. 1. We Lwowie dnia 7. stycznia 1895. Rok III.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

O ROKU NOWY!

Nie pacholęciem jesteś, Roku Nowy,
wchodzącem do nas w futerku bielutkiem,
w czapce puchowej,
z uśmiechniętemi oczyma:
w okna chat naszych, wypełnionych smutkiem,
i w rozbawionych pałaców podwoje
pukasz, wyrosły od razu w olbrzyma,
przyodzianego w groźną, twardą zbroję
od stóp do głowy —
pukasz i wołasz: »Niech każdy na boje
będzie gotowy!«

Błogosławiony, kto ten głos twój słyszy,
komu nie podciął słabych nóg zdradliwy
zapach haszyszy,
nie oszołomił ducha;
kto, do napiętej podobny cięciwy,
na posterunku z oczy otwartemi
czeka, wytężać nie przestaje ucha —
oręż ująwszy rękami obiemi —
w pomroki ciszy,
czy gdzieś w pobliżu, przyczajon do ziemi,
wróg nie zadyszy.

Jesteśmy ludźmi, co, jako upiory,
krocząc śród drogich grobowisk cmentarzy,
świetlne fosfory
z radością serca witamy!
Smutek nam schodzi z rozbolałej twarzy
i, jak pijany klaszcząc w suche ręce,
każdy z nas woła: »W słoneczne już bramy,
wchodzim w tryumfie po nocy i męce!«
Marne pozory
mają zą prawdę te mózgi dziecięce,
ten duch nasz chory.

I spać idziemy, jakby nasze dłonie
plenne już ziarna chwalebnej przyszłości
na tym zagonie
nieuprawionym posiały!
Jakby lipcowy wiew już przyszedł w gości,
raginał kłosy i wzywał swym szumem,
że czas do żniwa, bo łan dojrzał cały!
Śpimy, szczęśliwi, że nad rabów tłumem
wróg schylił skronie,
że, myśląc za nich swym wilczym rozumem,
W szyderstwie tonie.

A tam, nad gnuśnych i głupich łożnicą,
W chmurze, powstałej z oparów posoki,
Z łez, które świecą
niezastygniętem morzem,
łzawe i krwawe, w żałobie głębokiej
widmo, bezwładne, jak dziecię w kolebce,
na łan wskazuje, nie zasiany zbożem,
naprzemian jęczy i przekleństwo szepce,
że, z soczewicą
w jednej, cześć naszą nieprzyjaciel depce,
w drugiej z pętlicą!

O uderz w róg swój — wszak go masz gotowy —
Niech wyszłe z ciebie przepotężne brzmienie
nad sennych głowy,
nad zaślepieńce popłynie!
Zbudź eumenid straszne pokolenie,
niech nas ścigają, niech nam syczą w uszy,
że prawo życia mają ci jedynie,
którym błyskotka nie przygasi w duszy
iskry bojowej!
Czujnych a dumnych szermierzy w tej głuszy
zbudź, Roku Nowy!

Jan Kasprowicz.

ROK 1795.

Rok 1795. zastał Polskę zwyciężoną, zdeptaną, w otchłań ostatecznych klęsk pogrążoną. Zgiełk oręża i huk dział zastąpiły ponure dźwięki kajdan, ognistą pieśń bojową — jęki rannych, dogorywających po szpitalach i lazaretach.

Sto pięćdziesięcio-tysięczna armja, stworzona zapałem narodu, genjuszem Kościuszki znikła bez śladu, rozwiała się, niby senne widziadła. Jedni z mężnych obrońców wolności padli na krwawych polach maciejowickich; inni polegli na okopach Pragi; piętnaście tysięcy jeńca, konając powolną śmiercią w więzieniach moskiewskich i na Sybirze, zazdrościło braciom grobu w ziemi ojczystej; fortece pruskie, niemogąc pomieścić więźniów polskich, pluły codziennie trupami umierających na choroby zakaźne...

Niemniej straszna śmiertelność grasowała wśród pozostałych w kraju. »Z tych tedy rannych — pisze naoczny świadek — na kupę powpychanych, opatrzenia dobrego mieć niemogących, do tego przez chytrość dozorców źle karmionych, źle w tęgą zimę ogrzewanych, umierało niezmiernie wielu, a leżąc umarli między chorującymi po kilka dni (chowano bowiem wówczas do wspólnego dołu, gdy się kildadziesiąt już trupów zebrało) nim się do pogrzebu, bydlęcego nie ludzkiego, dostali, rozszerzyła się choroba i wzmogła i rozciągnęła po całej Polsce« * — po wszystkich zaborach. Wraz z umarłymi grzebano nawpół żywych jeszcze, którzy nadaremnie chwytali się mdlejącemi rękami drabiny wozu pogrzebowego, nadaremnie błagali o litość. Z dołów, niedbale zarzuconych ziemią, psy zgłodniałe wywlekały »mięsistsze części trupów, rozwłócząc tu i ówdzie obgryzione ręce i nogi«.

Miejsce narodowego żołnierza zajęły wojska nieprzyjacielskie. Na Litwie Moskale, w Województwach: Lubelskiem, Sandomierskiem i Krakowskiem Austrjacy, w Krakowie i Księstwie Mazowieckiem Prusacy gospodarowali — przed zawarciem jeszcze podziałowych układów — jak w domu, pasąc chlebem obywatelskim żołnierzy, ściągając ze złupionych mieszkańców podatki przy pomocy bagnetów.

I armjom najezdniczym wszakże niezbyt słodko dni upływały w okaleczonym dwoma rozbiorami, więc szczupłym a nadto zrabowanym i spalonym kraju polskim. Staczały też waleczne owe armje krwawe między sobą utarczki o furaż i prowjant, poczem »rannych swoich Moskale do Warszawy, Austrjacy do Lublina a Prusacy do Krakowa zwożą, czasem po kilkadziesiąt wozów« — zapewnia cytowany już wyżej Kitowicz.

Utarczki te stawały się coraz częstsze z biegiem czasu, gdyż o żywność było coraz trudniej: ziemię polską, pobitą przez wrogów, smagały teraz klęski elementarne — panował w niej głód.

Przewidywano go już w jesieni 1794 r.: »Wojna przeszkodziła uskutecznieniu zasiewów w większej części kraju — pisał do Katarzyny Stanisław August pod datą 21. listopada, o więc w parę tygodni po rzezi Pragi — uprawa roli jest niemożliwą tam, gdzie bydło zostało zabrane. Chłopi, których komory świecą pustkami, z chat pozostały zgliszcza lub ruiny, wyemigrowali tysiącami za granicę. Wielu ze szlachty ziemiańskiej uczyniło toż samo i dla tych samych powodów. Polska dziś już robi wrażenie pustyni. Głód w roku przyszłym zdaje się nieuniknionym, zwłaszcza, jeżeli sąsiedzi i nadal zajmować będą nasze terytorjum, uprowadzając nam mieszkańców i bydło«*.

Z ludźmi sprzysiężyła się i natura dla ostatecznej — jak się wówczas zdawać mogło — zagłady nieszczęśliwego narodu. Posucha prowadziła dalej rozpoczęte orężem dzieło zniszczenia, słońce lało przez wiosnę i lato potoki ognia na krwią nasiąkniętą ziemię, wypalając łąki, pastwiska, marne zasiewy. Korzec żyta kosztował 40 złp. i nie było go gdzie kupić. Choroby i śmiertelność przybierały zatrważające rozmiary.

Na takie udręczenia skazane były ciała.

A co cierpiał duch polski, pyszny, dumny, rogaty duch Polski, która się tysiącem lat niepodległości szczyciła?

Nemezys dziejowa zrównała wszystkie stany. Los smaganych rózgami chłopów stał się teraz udziałem całego narodu. Kolby moskiewskie i niemieckie operowały wprawnie i umiejętnie koło nieugiętych karków szlacheckich, a sędziowie, ustanowieni przez Suworowa na ulicach Warszawy pod mianem sprawników, wymierzali doraźną sprawiedliwość. »Niemasz tam patronów ani protokołu do zapisania dekretu, ani skrzynki na grzywny; tylko karbacz i ławka. Posługacze, asystujący sprawnikom, biorą na ławę i liczą batogi naznaczone. I już po sprawie, apelacji żadnej, chyba do cyrulika...« — pisze spółczesny historyk. Haniebna kara, mściwą wymierzana ręką, kończyła się nieraz śmiercią — zmarł między innymi na sromotnej ławie cechmistrz Sierakowski, towarzysz Kilińskiego bohater 17 kwietnia, za niedostawienie żądanej ilości mięsa.

Majestat narodu a z nim i bezpieczeństwo publiczne przestały istnieć: nikt nie był pewny swej czci, życia, majątku. Gwałcono, mordowano, grabiono, wywożono do Petersburga, co się wy-

---

* Kitowicz: Pamiętniki Tom III. str. 45.

* Francuzki oryginał powyższego listu przytacza Kalinka w dziele: »Ostatnie lata panowania Stan. Augusta«. Tom II. str. 91.

wieźć dało, od słynnej biblioteki Załuskich do wszystkich chłopców podrzutków ze szpitala Dzieciątka Jezus oraz ładniejszych dziewcząt.

Spełniły się nad nieszczęśliwym narodem przepowiednie Skargi: »Będziecie nietylko bez Pana krwie swojej, ale i bez ojczyzny i wygnańcy, wszędzie nędzni, wzgardzeni, ubodzy włóczęgowie, które popychać nogami będą...«

I cóż dziwnego, że ludzie gorętszych uczuć dostawali pomięszania zmysłów z boleści, odbierali sobie życie lub urągali z szyderstwem rozpaczy Bogu, jak ów wojewoda, który wychychylając kielichy wołał: — Twoje zdrowie, Panie Boże! wkrótce stanę przed Tobą i zapytam Ciebie, dla czego tak uporczywie Polskę prześladujesz, a dziś zgubiłeś ją na wieki... Jeśli mi nie dasz dobrej racji, będziesz się musiał wybić ze mną!*

Ale tych buntowniczych duchów, gorących serc szczupła wówczas znajdowała się w Polsce garstka. Wodzowie moralni narodu, twórcy wielkiej chwili dziejowej albo runęli pod gmachem zburzonej Ojczyzny, albo za życia pogrzebani w Petropawłowskiej fortecy, boleli własnem i narodu nieszczęściem, albo też po zaświatnej tułali się fali, jak mówi Woronicz. Na powierzchnię mętnych wód narodowego życia wydobyły się płazy i gady ludzkie, ubezwładnione burzą rewolucji. Z zagranicy—wraz z braćmi po duchu—wraca targowiczanin Rzewuski, wkupując się w łaski Moskali twierdzeniem, że »Polska zwarjowała«, gdy oręża w obronie wolności dobyła. Z więzień wysuwają się milczkiem zdrajcy kraju, zamknięci tam w dniach rewolucji przez lud rozsrożony. Przoduje im biskup Skarzewski, który pomimo wydanego nań wyroku śmierci przez powieszenie oraz zdjęcia święceń, dokonanego przez biskupa Malinowskiego, stroi się we fjolety i ordery.

Cała ta plugawa czereda zdrajców czołga się u stóp Polsko-bójców, płaszczy i przymila w nadziei pozyskania orderów i dostojników. „Kosmopolityczne wychowanie i usposobienie arystokracji ułatwiło jej wielce zbliżenie się do sfer wyższych i pozyskanie łask monarszych“ — robi trafną uwagę Kraszewski **.

Poza gronem uprzywilejowanych cały kraj zamyka się w beznadziejnej boleści, okrywa kirem żałoby. W jednym tylko punkcie, w Grodnie, tymczasowej siedzibie króla, skupia się ruch karnawałowego ożywienia.

Na rozkaz carowej Stanisław August opuścić był zmuszony Warszawę 5 stycznia 1794 r. i przenieść się do Grodna, dokąd przed dwoma laty zaprowadził był pod nóż drugiego rozbioru pragnący walki i niepodległości naród polski. Tu, oddany troskliwej opiece księcia Repnina, który tak skutecznie popierał niegdyś jego elekcję, pędził spokojny żywot więźnia, czujnie przez straże moskiewskie strzeżonego. Niewiele mu to przysparzało wprawdzie chwały i blasku, ale pobierał od Moskali 11 tysięcy dukatów pensji miesięcznej, zostawiono mu obu słynnych kucharzy Trema i Schütza, którzy później mieli wprawiać w zdumienie swym kunsztem nawet cara Pawła; odbierał wizyty słynnej z piękności i greckiego stroju markizy Lullie; umilała mu chwile samotności znana Grabowska, wówczas już pięćdziesięcioletnia; z Moskalami, którym służył z takiem zaparciem się przez lat trzydzieści, zawiązały się również nader przyjazne stosunki, — no i czas schodził nie najgorzej śród balów, koncertów, oper, komedji, aż do chwili, gdy carowa zażądała formalnej abdykacji tronu na piśmie. Zafrasował się wielce tym rozkazem najmiłościwszej swej pani Stanisław August. Do korony czuł stokroć silniejsze przywiązanie, niż do Polski, królem być pragnął »choćby na jednej skibie«, mdlał też z rozpaczy i dostawał wymiotów, ale — jak zawsze — posłuszny, abdykację podpisał, a łącząc z posłuszeństwem rycerską kurtuazję dla dam — jak koronować się kazał 25 listopada w dzień imienin carowej, tak też i złożył w trzydzieści dwa lat później w ten sam dzień u stóp »wszetecznicy na tronie« koronę polską, koronę Chrobrych, Jagielonów, Sobieskich... »Żaden tak nikczemnie, tak spokojnym umysłem i tak bezwstydnie nie pozbył swego państwa!« — woła spółczesny historyk, a sąd potomności potwierdza te gorzkie słowa.

Aktem abdykacji, w którym powiada, że dla dobra ojczyzny »wolnie i z własnej woli« wyrzeka się »bez excepcji praw do korony polskiej«, zamknął Stanisław August szereg małych i wielkich zbrodni, jakie popełniał w ciągu nieszczęsnego swego panowania.

Dzień 25 listopada jest też ostatnim momentem historycznym roku 1795. Na ponure jego tło nie pada ani jedna smuga świetlana. Dźwięki potężnej pieśni życia miały wkrótce zbudzić zmartwiałą ziemię, a szczera krew serca powołać ją do dalszej walki i zwycięstw nowych, ale stało się to dopiero później — na razie była tylko klęska i ból, rozpacz i żałoba!

M. Wysłouchowa.

PROSTA OPOWIEŚĆ.

Był to ciepły, słoneczny dzień letni. Pan Polański, zmęczony, wracał z pola. Przeszedł rozległe podwórze i miał właśnie wchodzić na szerokie, kamienne stopnie, prowadzące do dworu, kiedy spostrzegł bladą, zmienioną twarz Józefa Błażka, czekającego u progu.

---

* Toast Walewskiego, starego wojewody sieradzkiego, cytowany u Niemcewicza.

** Polska w czasie trzech rozbiorów. T. III. str. 677.

— A co tam, gospodarzu? — zapytał dziedzic.

— Przyszedłem do wielmożnego dziedzica prosić o poradzenie.

Chłop nieufnie obejrzał się wokoło.

— Możecie mówić bez obawy, mój Błażku, nikt nas tu nie słyszy.

— Bo to, wielmożny dziedzicu, mój syn... mój Franek... już wielmożny dziedzic wiedzą... — Głos wieśniaka załamał się, jakby go łkanie dławiło.

— Franek? aha... Franek. Więc i cóż? nie lepiej mu?

— Umarł dziś... przede świtem... — nozdrza chłopa zadrżały. — Ach, jaki on był zawdy raźny, nieboże... a ochotny do roboty... kosa to mu ino świstała w ręku... ha, trudno, wola Boska! choróbsko go zabrało... nawet tego wina nie wypił, co to mu wielmożna dziedziczka przysłali...

— Biedny mój Błażku, prawda, dotknęło was wielkie nieszczęście, ale macie więcej dzieci... — starał się pocieszać pan Polański.

— Wola Boska! — powtórzył wieśniak — tylo najgorsza, to tera z pogrzebem.

— Byliście już u księdza?

— Dyć byłem... ale dobrodziej powiada, że nie może; przyszło jakieś pisanie od urzędu, jeszczeby dobrodzieja na Sybir wywieźli... powiada, że trza pozwoleństwa od naczelnika powiatu.

— Tak, tak, ksiądz ma ręce związane, wysłaliby go na koniec świata, a tu sprowadziliby jaką przeklętą moskiewską duszę! Wątpię jednak, moi drodzy, by wam naczelnik dopomógł.

— To mi wielmożny dziedzic nie radzą iść do naczelnika?

— Hm, sprobujcie...

— Powiedziałem ja mojej babie: ot pochowalibyśwa naszego Franka sami, po cichuteńku, w nocy... a choć go tam dobrodziej nie pokropi święconą wodą, to i tak się pan Bóg nie obrazi i przyjmie go do chwały swojej... Ale jak to moja posłyszy, podskoczy zara, jakby ją kto wrzątkiem oparzył i nuż beczeć i lamentować: czy to nasz pierworodny na taki wstyd sobie zasłużył, żeby dzwony dla niego nie biły, żeby się gromnice kole jego trumny nie paliły? czy to on nie twój syn, żebyś go chciał pochować, jakby psa jakiego?

Pan Polański westchnął i z litością głęboką na kmiecia patrzył.

— Cóż począć? mój biedny Błażku, głową muru nie przebijesz! Oj, ciężko nas Bóg doświadcza!

— To ten psio-wiara pisarz, wszystkiego nawarzył. — Błysk nienawiści zaświecił w oczach Błażka. — Już to on z popem razem zawdy dobrze się zwiedzą i myślą jeno, jakby tu komu za pazury zaleźć... Czy to ja wiedziałem, że mój dziad ochrzczony był w unickim kościele? dyć go pochowali na naszym katolickim cmentarzu. Doloż moja! Matko Częstochowska! Kajże ja tera pójdę?

Podjął dziedzica pod nogi i wolno, ze zwieszoną głową, skierował się ku domowi.

Im więcej zbliżał się do swojej chaty, w której spoczywało ciało Franka, tem więcej ściskało się serce biedaka. Myślał, jak to, zaledwie dwa tygodnie temu, Franek, pośpiewując wesoło, pędził konie do wody, a echo piosenkę w dal niosło...

— Mój Boże, niczegoj, nieboże, nie użył w tem życiu, zawdy się ino drugim wysługiwał... a jaki był posłuchany... a robota to mu się paliła w ręku...

To znów, widział syna wieczorem, przy świetle małej, migocącej lampki, pochylonego nad książką. Franek z mozołem uczył się czytać.

— Jaki on był okrutnie ciekawy do książek! Oj, czemuż to Bóg dobry takie ciężkie krzyżyki na człeka zsyła?

Błażek wszedł do stajni, oparł głowę o żłób i wybuchnął płaczem serdecznym. Przez cały dzień, wobec żony i dzieci starał się być spokojnym, boć nie przystoi chłopu beczeć, jak starej babie, ale znalazłszy się tutaj sam, nie mógł dłużej pohamować żalu.

Podniósł na konie oczy, przysłonięte łzami. Jakie to Franek zawdy miał o nich staranie! o siebie nie dbał, nie dospał, nie dojadł, ale żłoby w stajence nigdy nie były puste... Teraz koniska zgłodniałe, patrzyły na gospodarza wzrokiem pełnym jakiejś dziwnej tęsknoty, jakby pieszczoty wyczekując. Czyż jednak mogło dzisiaj coś ucieszyć Błażka? On jeno syna miał przed oczami...

Widział go teraz, jak w niedzielę rano, ubrany w czyściutkie obwleczenie, nową sukmanę i buty świecące, szedł do kościoła, a dziewuchy uśmiechały się do niego po drodze, — to znów ukazywał mu się z kosą w ręku, albo jak na widłach podnosił ciężki snop zboża, właśnie, jakby się bawił... Juści, niewiasta dobrze mówi... jak tu nie sprawić l u d z k i e g o pogrzebu takiemu synowi!...

Wszedł do chałupy.

Na środku izby, z obrazkiem świętym w skrzyżowanych rękach, wyciągnięty na słomie leżał Franek. Izba wydawała się wielka, przestronna, albowiem sprzęty wszystkie przeniesiono do sąsiadów. W kącie, pod piecem, stara Wojtowiczka, która Franka na śmierć ubrała, szeptała modlitwy.

Gospodarz popatrzył na syna, ukląkł przy zwłokach i zmówił pacierz.

Po chwili powstał.

— Nie, nie pogrzebię cię, kieby psa jakiego, mój ty robaku kochany, — wymówił głośno, jakby go syn mógł usłyszeć — nie, nie będziesz ty miał pogrzebu bez księdza i dzwonów! a jeśli zaś będzie potrza to pójdę do...

— Ojej! ojej! — zajęczała Wojtowiczka.

Błażek przerwał mowę. Poważny stał i patrzył wciąż na trupa. Nagle myśl straszna przeszła mu przez głowę. A gdyby tak naprawdę zabrali mu jego syna i pochowali na cmentarzu prawosławnym? Cóżby w takim razie było w dzień sądu ostatecznego? Czy Franek odnalazłby swoich? Oho, moskale nie puściliby go pewnie! A on, biedna, zatracona dusza, oderwana od ojca i matki, pozostałby, jak sierota, na wieki pomiędzy obcymi!

Z sercem, wezbranem niepokojem, Błażek przeżegnał się i poszedł szukać żony. Znalazł ją u sąsiadów. Siedziała na skrzyni w komorze, oczy miała czerwone i zapuchnięte od płaczu.

— No, Jagna, nie becz, nie lamentuj, trudno, Boże dopuszczenie... nie becz, moja ty serdeczna, pójdę do naczelnika, pójdę choćby do czorta, ale im Franka nie dam! pochowamy go kaj leżą nasi ojcowie... chybaby w niebie sprawiedliwości nie było!

Ponieważ było to w lecie, nie potrzebował więc Błażek długich przygotowań do drogi. Zalecił tylko młodszemu synowi, Jaśkowi, aby dojrzał pola i chałupy, wskoczył na konia, zarzucił przed siebie worek z obrokiem i — w imię Boże!

Słońce piekło jak zarzewiem, pot grubemi kroplami spływał Błażkowi z czoła, on nie czuł tego. Zdało mu się jeno, że to słonko śmieje się z niego, jakby urągało jego niedoli.

Dzień już był dobry, kiedy przybył do Z. Dom, w którym mieszkał p. naczelnik, znalazł zaraz. Oj, wyczekiwał on przed nim długie dni i godziny, kiedy to pop chciał koniecznie najmłodsze jego dziecko ochrzcić w cerkwi, — ale wtedy Błażek nie mógł widzieć się z naczelnikiem, albowiem ten wyjechał właśnie na rewizję, kiedy zaś po dwóch dniach powrócił, powiedziano Błażkowi, że pan naczelnik jest zmęczony, niezdrów i nie chce z nikim gadać.

Wróciwszy do domu, Błażek dowiedział się, że za nieposłuszeństwo względem władz duchownych, został skazany na karę 12 rubli i 25 kopiejek. Z bólem serca wydobywał ze skrzynki nowe, lśniące papierki. Ach, z jakimże żalem srogim patrzył na nie! Wszak nie ukradł ich nikomu, ani znalazł, tylko w pocie czoła zarobił przy ścinaniu drzew w lasach p. Polańskiego. Błażkowa, od siebie, dołożyła 2 ruble i kopiejki, które uciułała za jaja i sery.

— Daj im tę krwawicę naszą, daj — mówiła — niech się nażrą, niech nas ino w spokojności ostawią.

Dzięki swej poprzedniej bytności w miasteczku, Błażek wiedział, że do naczelnika wchodziło się przez kuchnię i czekało w małej izdebce, pełnej zawsze proszących i interesantów.

Tym razem widocznie powodzenie uśmiechnęło się do Błażka. Czekał zaledwie trzy godziny, kiedy niespodziewanie wszedł sam p. naczelnik do izby. Mundur miał rozpięty i ziewał jeszcze przeciągle, po poobiedniej drzemce.

Na widok wieśniaka, twarz jego czerwona obrzękła, zachmurzyła się i choć umiał po polsku doskonale, zawołał po rosyjsku, głosem grzmiącym, urzędowym:

— Kto ty? czego chcesz?

Chłop zadrżał. Znał język rosyjski o tyle, o ile zbliżony on jest do polskiego, ale ilekroć go posłyszał, wzbudzał w nim zawsze lęk i niepokój. Czyż dźwięki te nie były wiecznie zwiastunami klęsk przeróżnych? Podatki rozmaite, kary, ciągłe zaspakajanie nigdy nienasyconej żarłoczności urzędników powiatowych, bezwstydne łapówki, których sprawiedliwość żadna, żaden trybunał, żaden wyższy dekret nie są w mocy ukrócić.

Wszystko to jasno stanęło w umyśle chłopa i dreszczem trwogi przejęło go od stóp do głowy. Pomimo to skłonił się do kolan p. naczelnika i zaczął:

— Przyszedłem, jaśnie wielmożny naczelniku, bo mi powiedzieli, że ponoć zapisali mnie w książki, jako ja jestem unita...

Kiedy to mówił, stanął mu znów na oczach jego Franek, wyciągnięty na słomie, tam, w środku pustej izby — i dodał cichym głosem:

— Jaśnie naczelniku, mój syn umarł, ochrzczony był w naszym świętym, katolickim kościele, a proboszcz nie chce go pochować, aż będę miał pozwoleństwo od jaśnie naczelnika...

— A kiedyś ty zapisany jako prawosławny?

— To nieprawda! jaśnie naczelniku... katolik jestem, jak mój ojciec byli i mój dziad... pochowali ich u nas, na wsi, na naszym cmentarzu.... i m o j a też jest Polka i katoliczka. Co niedziela, co święto chodzę do naszego kościoła i tam się spowiadam... ino latosiego roku...

C. d. n.

Kolenda.

Pójdźmy wszyscy do tej ziemi,
Gdzie się orze skrzydły swemi,
Gdzie na zeschniętym zagonie
Trzeba pokaleczyć dłonie,
Nim się rzuci siew.

Pójdźmy wszyscy do ojczyzny
Wypełnić swe robocizny,
Gdzie są chwasty — tam wyplewić,
Gdzie są wydmy — tam rozkrzewić
Gąszcze nowych drzew.

Pójdźmy wszyscy pod te strzechy,
Kędy z pod słomianej wiechy
Mało patrzą okieneczka
I krasna miga chusteczka
Na płocie u wrót.

Pójdźmy między gospodarzy
Radość wywołać na twarzy,
A w uśpionem wpół serduszku,
Co kołacze się w pastuszku,
Ocknąć gwiazdkę cnót.

Pójdźmy wszyscy do tej szkoły,
Gdzie pacholąt tłum wesoły,
Lecz nie mają czego trzeba:
Ani globu, ani chleba,
Brak książek i chłód.

A jednak dzieciak się biedzi,
Po śniegu, po gołoledzi,
Bo czuje, że w jego główce
Tysiąc marzeń, jak w makówce,
Budzi światła cud.

Pójdźmy z wesołą kolendą,
Gdzie wieczorem dziewki przędą,
Złączmy głos w te wspólne pienia
I zasnujmy swe życzenia
W tę konopną nić.

Pójdźmy, kiedy gwiazda płonie,
Wszystkich ludzi ścisnąć dłonie,
Razem orać, prząść i śpiewać,
Wierzyć, kochać i spodziewać,
I walczyć i żyć!

Szczęsna.

Z niw słowiańskich.

I.

[Dzieje literatury polskiej po serbsku. Katedra literatury polskiej w Belgradzie. Literatura rosyjska na usługach polskiej. Potrzeba zaopatrywania bibliotek słowiańskich w książki polskie. Wykłady Vrchlickiego. „Dzieje Polski" Bobrzyńskiego po czesku.]

W jednym z najświeższych tomów naukowego organu »Maticy serbskiej« — »Latopis«, wychodzącego w Nowym Sadzie (Neusatz) spotykamy się z krótkim zarysem dziejów piśmiennictwa naszego, napisanym przez dra Stefana Pavlovića. Zarys ten, jakkolwiek może zanadto zwięzły, bo podany na 62 str., może jednakże przynieść pewną korzyść naszym pobratymcom południowym, gdyż literatura polska jest im bardzo mało znana. Odnosi się to zwłaszcza do starszej literatury, gdyż współczesna beletrystyka nasza, dzięki niezmordowanej pracy księdza Mikołaja Manojlovića (Rajko) nie jest już Serbom obca. Dr. Pavlović korzystał głównie z dzieła A. Nitschmanna »Geschichte der Polnischen Literatur«, na podstawie którego podał historyczny obraz rozwoju naszej literatury pięknej od czasów najdawniejszych aż do dni dzisiejszych i dopełnił go niezbędnemi wiadomościami o nauce w Polsce (głównie o historji, archeologji, historji literatury i filozofji), prasie i literaturze ludowej. Szkoda tylko, że dr. Pavlović nie zapoznał się z należytem wymawianiem dźwięków polskich, wskutek czego niektóre imiona własne w jego transkrypcji brzmią bardzo dziwacznie, np. Sarciński (Szarzyński). Orcechowski, Sujski, Wojdijechowski, Kackowski, Peterkan (Piotrków), Plok (Płock) itd

Możemy mieć nadzieję, że Serbowie zapoznają się bliżej z literaturą naszą dzięki założonej przed kilkoma miesiącami na uniwersytecie w Belgradzie katedrze literatur słowiańskich, mianowicie rosyjskiej, polskiej i czeskiej. Profesorem został zamianowany p. Radovan Koszutić. Imię to nie jest obce Polakom, gdyż pan Koszutić przebywał parę lat w Polsce (w Krakowie, Lwowie i Warszawie) i nawet pisywał po polsku w paru pismach naszych. Z zamianowania pana Koszutića możemy być szczerze zadowoleni, gdyż, znając go, jesteśmy zupełnie spokojni co do ducha, w jakim literaturę polską wykładać będzie. Oprócz znajomości wszystkich literatur słowiańskich p. Koszutić posiada wybitny talent poetycki, a kilka zbiorków jego poezji należy do ozdób najnowszej liryki serbskiej.

Literatura polska powoli zaczyna przedzierać się i na południe słowiańskie. Pomijając zasługi pod tym względem jednostek jak: ks. Manojlović u Serbów lub dr. Chrysto Kessiaków u Bulgarów, zawdzięczamy to w znacznej części, ktoby się tego spodziewał? — Rosjanom, czyli właściwiej literaturze rosyjskiej. Wiadomo, że Rosjanie obecnie tłumaczą z polskiego wszystko, co tylko zjawia się wybitniejszego w beletrystyce naszej i to czasem po kilka razy, jak to zdarza się z utworami Sienkiewicza i Orzeszkowej. Zwłaszcza miesięczniki rosyjskie, t. zw. »grube« pisma, odznaczają się gorliwością pod tym względem. Znajdujemy w nich nie tylko przekłady utworów beletrystów naszych, ale również krótsze lub dłuższe artykuły i studja, poświęcone płodom powieściopisarstwa polskiego. Miesięczniki te są bardzo rozpowszechnione na południu słowiańskiem, zwłaszcza u Bulgarów, którzy poznają literaturę polską głównie z przekładów rosyjskich. Zajmowanie się pism rosyjskich literaturą polską imponuje i innym słowianom, dotkniętym t. zw. »rusofilstwem« i pobudza ich do zapoznawania się z piśmiennictwem naszem.

Gdybyśmy bardziej dbali o to, ażeby nasi pobratymcy zapoznawali się z literaturą polską i z życiem polskiem wogóle, tobyśmy z łatwością mogli dokonać tego, że wiadomości o Polakach nie dochodziłyby Czechów np. via »Narodni Listy« z Moskiewskich Wiedomostij. Na to jedyna rada — zaopatrywanie księgozbiorów czeskich w książki polskie. Niechaj każdy nakładca poświęci 5—6 egzemplarzy każdej książki na rozesłanie do głównych ognisk Słowiańszczyzny (do uniwersytetów i bibljotek publicznych Pragi, Brna, Zagrzebia, Belgradu i Sofji), a skutki będą bardzo doniosłe. Księgozbiory słowiańskie

są zwykle nie na tyle zasobne w środki materjalne, aby mogły poświęcać znaczne kwoty na zakupienie wydawnictw polskich, więc o zaopatrzeniu ich w takowe, powinno polskie społeczeństwo pomyśleć. Bo i jak np. Czech może się zapoznać z literaturą polską, jeśli najbogatszy księgozbiór praski „Biblioteka Muzeum Królestwa Czeskiego“ nie posiada ani jednej pracy P. Chmielowskiego, nie wspominając już o innych.

A że chęć poznania literatury polskiej u Czechów, a zwłaszcza u młodzieży czeskiej istnieje w wysokim stopniu, o tem najlepiej świadczą wykłady J. Vrchlickiego, o „Dziadach“ na które zbiera się prawie tyle słuchaczy, co na wykłady najpopularniejszego profesora wszechnicy czeskiej — Masaryka. Że tu nie imię profesora, najwybitniejszego poety czeskiego, pociąga słuchaczy, ale temat, możemy przekonać się, poszedłszy na wykłady tegoż J. Vrchlickiego o Dancie, na których zaledwie dziesiątek studentów bywa.

Niezbyt dawno poczęło wychodzić w Pradze zeszytami dzieło M. Bobrzyńskiego „Zarys dziejów Polski“. Przekładu dokonał młody uczony czeski dr. Bidlo, który przebywał przez rok na uniwersytecie w Krakowie, gdzie studjował specjalnie historję polską. Dr. Bidlo zaopatrzył przekład „Zarysu dziejów Polski“ w niezbędne dla Czechów objaśnienia. *L. Wasilewski.*

Przypowieść indyjska.*

Kraj Dżamidy mógł uchodzić za najszczęśliwszy zakątek ziemi. Ukryty w fałdach łańcucha Himalaja brał od niego wieczną świeżość wiosny. Śnieżyste szczyty chroniły go od południowych wichrów, gromadziły chmury i zsyłały na ziemię ożywcze deszcze. Palmy, banany, sagowce, pola ryżowe dostarczały obficie pożywienia, winnice napoju, trzcina cukrowa słodyczy. Mieszkańcy nie potrzebowali wysilać się pracą: dość było rękę wyciągnąć, by głód zaspokoić, dość się schylić, by zrywać najwyszukańsze owoce.

Lud Dżamidy był wesoły i dobry, a wielki bóg Wisznu, miłował go nad inne i nieraz w swych ziemskich wędrówkach wśród niego przebywał.

Ale pomyślność wiecznie trwać nie może. I stało się, że na lud Dżamidy przyszły klęski.

Naprzód cyklon przedarł się przez szczerby gór i wpadłszy w dolinę powyrywał drzewa, zniósł tamy rzeki, zniszczył gradem zboża.

Ziemia mieszkańców swych wyżywić nie mogła, zapanował straszny głód, a głód wiedzie do podłości.

Przyszło zagórskie plemię Paraszów i zwyciężyło wycieńczonych, upadłych na duszu. Parasze obchodzili się ze zwyciężonymi, jak z niewolnikami. Zaprowadzili wszędzie swój ład, swój obyczaj, a Dżamidom odmawiali ognia i wody.

Na domiar złego były wśród Dżamidów tacy, co padali na twarz przed Paraszami i kłaniali się nawet ich cieniom a oni zabierali im ziemię, dobytek, żony, a małe dzieci przysmakami lub biciem, odrywali od ojców i matek.

Wreszcie, nie mogąc znieść tego ucisku, lud Dżamidów udał się do świątobliwego pustelnika, który modląc się i pokutując, żył w szczelinie skalnej.

— Idź — prosił — szukaj wielkiego Wisznu, zanieś mu nasze skargi. On kochał nas niegdyś, powiedz, w jakiej jesteśmy nędzy. Niech nam pomoże.

I pustelnik puścił się w drogę. Długo błądził po ziemi, aż doszedł do źródeł świętej rzeki Gangesu, Droga była ciężka, bo starzec miał już blizko lat sto, a dźwigał cierpienia całego ludu i upadał pod ich brzemieniem.

Wtedy na kryształowym tronie, otoczony śnieżnemi tęczami, ukazał mu się wielki Wisznu, w koronie z promieni, zapatrzony w roziskrzone błękity.

A pustelnik jęczał pół martwy.

— Wielki Wisznu, ratuj! bo giniemy!

Słysząc jęk starca, Bóg spuścił wzrok na nędze ziemi, zasmucił się i rzekł:

— Na ludy, jak na człowieka, przychodzą próby. Tak się stało z wami. Trzeba wam wytrwać. Ale chcę wam pomódz. Powiedz, czego żądacie? Czy mam rozkazać, by ziemia wydała w dwójnasób owoców?

— Panie, to nas nie zbawi. W dwójnasób najdzie nieprzyjaciel, a Dżamidy głodne zostaną.

— Czy mam zesłać mór, aby wytrapił Paraszów?

— Panie! mór nie przebiera w ofiarach, a Dżamidy zarówno jak Parasze padać będą.

— Czy mam wam dać rozum?

— Panie! rozum dobry jest, ale nie starczy.

— Więc czego żądasz? Powiedz, a uczynię to, bo widzę, że lud swój kochasz.

A pustelnik pochylił się do stóp wielkiego Boga i prosił:

— Panie! spraw, by nienawiść do wrogów równą była miłości dla swoich, a będziem ocaleni.

Wielki Wisznu spojrzał smutno w błękity i wyrzekł:

— Są czasy, w których miłość mierzy się nienawiścią. Niech się stanie, jak żądasz.

Walerja Marrené Morzkowska.

* Obrazek niniejszy powtarzamy za »Gońcem Wielkopolskim«, który umieścił go w nader urozmaiconym gwiazdkowym numerze, zawierającym utwory Kornela Ujejskiego T. T. Jeża i inne.

Przegląd pism.

»Free Russia«. — Grudzień 1894.

Pismo, będące organem »Towarzystwa przyjaciół wolności w Rosji«, którego dążenia dadzą się pokrótce wyrazić w żądaniu dla Rosji swobód konstytucyjnych, z natury rzeczy skupić się musi w obecnej chwili na kwestji zmiany osoby cara.

W artykule, poświęconym zmarłemu Aleksandrowi III., znany agitator rosyjski, Wołchowski, bardzo umiejętnie stara się obalić już stworzoną około postaci zmarłego cara legendę, przedstawiającą ostatniego jako »twórcę pokoju« (car-mirotworec) i »car-mużik« (car-chłop). Autor wykazuje dowodnie, że Aleksander III. musiał prowadzić politykę o tyle o ile pokojową, czując dobrze, że w razie nieszczęśliwego przebiegu wojny, despotyczne państwo rosyjskie stanie się łupem wewnętrznych i zewnętrznych wrogów. A już najmniej był »carem-chłopem« car, który prześladował okrutnie tysiące chłopów sztundystów, który swą purpurą okrywał postępki czynowników, grabiących grunta publiczne, który darzył łaską morderców nieszczęśliwych włościan krożańskich i t. p. »Nie — pisze autor — chłop rosyjski zrozumiał jego charakter lepiej, dając mu nazwę »cara panów««.

W charakterystyce Mikołaja II. zaznacza autor z naciskiem prawie zupełny brak wiadomości o osobie nowego cara z doby, gdy ten był jeszcze następcą tronu. Korespondent naszego pisma — pisze dalej — czerpiący informacje, jak się zdaje, ze sfer dworskich, twierdzi, iż nowy car, będąc następcą tronu, umyślnie milczał i unikał wszelkich występów publicznych, gdyż czuł, iż nie będzie mógł iść drogą, którą uważał za właściwą«. Przebiegając następnie kolejno znane już czytelnikom naszym rozmaite drobne fakta z panowania nowego cara, przychodzi autor do konkluzji: »że dotychczas nie mamy jeszcze danych do wytworzenia sobie sądu o stanowisku, jakie zajmie nowy car wobec licznych kwestji pierwszorzędnej wagi dla Rosji«. Omawiany numer »Wolnej Rosji« opisuje również znane zajścia deputacji warszawskiej z Hurką, oraz oddaje hołd zachowaniu się Finlandczyków przy wstąpieniu na tron Mikołaja II. *p.*

Z ruchu piśmienniczego.

Polska XVI wieku pod względem geograficzno-statystycznym, tom V. (Mazowsze) dzieła prof. Adolfa Pawińskiego opuścił prasę. Jest to z kolei tom XII. »Źródeł dziejowych«, przez prof. P. wydawanych.

Prof. Bol. Ulanowski ogłosił drukiem odczyt swój, miany na publicznem posiedzeniu akademji umiejętności p. t. **»Wieś polska pod względem prawnym od w. XVI. do XVIII.«**

»Słownik nazwisk zoologicznych i botanicznych polskich, zawierający ludowe oraz naukowe nazwy i synonimy polskie, używane dla zwierząt i roślin od XV. wieku aż do chwili obecnej«. Zebrał i ułożył Erazm Majewski. Tom II. Zeszyt 9-ty. Warszawa 1894.

Wyszło w przekładzie dra Flauma dziełko W. Preyera p. t. **»Rozwój umysłowy dziecka** od pierwszego dnia życia, oraz wskazówki do czynienia obserwacji dla rodziców i wychowawców.

Firma księgarska Koreywy w Kijowie i Odessie wydała wybór **»Pieśni ukraińskich«**. Mają one odźwierciadlać — o ile to w pieśni możliwe — życie ludzkie »od kolebki do mogiły«.

Nakładem J. Zawadzkiego w Wilnie, wyszły nowele, studja i obrazki Wiktora Gomulickiego p. t. **»Jeden z Nowych«**. Całość składa się z 10 nowelek.

W pięknem wydaniu K. Grendyszyńskiego w Petersburgu wyszedł świeżo przekład **»Przygód Don Kichota z La Manczy«** Cervantes'a, dokonany przez J. Ł. Tekst zdobi ośm ilustracji Gustawa Dorego.

Profesor sztuki wojennej, pułkownik Orłów, napisał rzecz p. t. **»Szturm Pragi Suworowym w 1794 godu«** (Petersburg. 1894). Obszerny ten, 135 str. in 4-to obejmujący referat, odczytany był przez autora w sztabie gwardji petersburskiego okręgu wojennego na pamiątkę setnej rocznicy faktu. Jenerał Puzyrewski. znany autor dzieła »Wojna rusko-polska w r. 1831«, oceniając tę pracę, zaznacza, że autor, korzystając z materjału archiwalnego, zdołał poprawić niektóre błędy swych poprzedników, nie ustrzegł się jednak nowych. Puzyrewski wskazuje niektóre z tych braków, a istnienie ich przypisuje okoliczności, że Orłow nie poznał się ani z najnowszem dziełem K. o Kościuszce, ani ze studjami Górskiego o wojsku polskiem, ani w ogólności z żadnemi źródłami polskiemi.

W czasopiśmie *La Rassegna Dalmata* ukazał się szereg życzliwych nam artykułów p. t.: **»I Polacchi e l'esposizione di Leopoli«** pióra Antoniego Vukowicza.

Od 1. grudnia 1894 r. poczęło wychodzić w Cieszynie pismo czeskie p. t. **»Noviny Teszinské«**, mające być organem Czechów, zamieszkujących część wschodnią Szlązka austrjackiego. W Księstwie Cieszyńskiem żyje, jak wiadomo, obok 190.000 Polaków i kilkunastu tysięcy Niemców, także blisko 70.000 Czechów, przeważnie w powiecie frydeckim.

Nowe pismo czeskie oświadcza w artykule programowym, że dalekiem jest od chęci toczenia boju zaczepnego z Polakami lub Niemcami, nie pragnie niczego zdobywać, ale jedynie bronić tego, co jest czeskiem. W odpowiedzi zaś na podjudzania ultra-germańskiej *Silesii* piszą *Noviny* o stosunku swoim do Polaków: »Jesteśmy świadomi obowiązków naszych względem bratniego szczepu polskiego, którego atoli nie utożsamiamy z jednostkami lub frakcjami, uważającemi za główne swe zadanie szczucie przeciwko Czechom«.

Nadmienić nam wypada, że w Księstwie Cieszyńskiem kilkanaście wsi posiada ludność mieszaną, mieszkańcy zaś kilkunastu innych wsi mówią narzeczem przechodniem czesko-polskiem, tak iż niewiadomo, do której narodowości zaliczyć ich należy, zwłaszcza, że sami nazywają siebie »Szlązakami« albo »Morawcami«. Toczyły się już z tego powodu długie spory w prasie polskiej i czeskiej.

Obecnie dolewają Niemcy oliwy do tego ognia, miejmy jednak nadzieję, że przy dobrej woli i wyrozumiałości przodowników ludu szlązkiego sprawa ta ułoży się ku obopólnemu zadowoleniu. W każdym razie mniemamy, że rozstrzygnięcie tak ważnej kwestji nastąpić powinno, przy udziale fachowych znawców gwar i stosunków ludowych.

PRO MEMORIA.

3. stycznia 1795. Podpisaną została w Petersburgu deklaracja dworów: rosyjskiego i austrjackiego co do ostatecznego podziału Polski.

4. stycznia 1796. Wojska austrjackie zajmują — po usunięciu się pruskich — Kraków.

5. stycznia 1795. Stanisław August opuszcza na rozkaz Katarzyny Warszawę, udając się do Grodna.

9. stycznia 1796. Prusacy zajmują Warszawę.

9. stycznia 1797. Podpisaną zostaje w Medjolanie ugoda, na mocy której wolno było tworzyć legjony polskie we Włoszech.

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie